



DŹINAN

współpraca:
Thierry Oberlé

N I E W O L N I C A

ISIS

Tytuł oryginału: Esclave de Daech

Tłumaczenie: Natalia Jaskula Esquerré

Projekt okładki: Jan Paluch

Materiały graficzne na okładce zostały wykorzystane za zgodą Shutterstock Images LLC.

ISBN: 978-83-283-2416-9

© 2015 Librairie Arthème Fayard, 2015

Polish edition copyright © 2016 by Helion SA.

All rights reserved.

All rights reserved. No part of this book may be reproduced or transmitted in any form or by any means, electronic or mechanical, including photocopying, recording or by any information storage retrieval system, without permission from the Publisher.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Autor oraz Wydawnictwo HELION dołożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autor oraz Wydawnictwo HELION nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

Wydawnictwo HELION

ul. Kościuszki 1c, 44-100 GLIWICE

tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63

e-mail: editio@editio.pl

WWW: <http://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

Rozdział 1

ROZŁĄKA

*„Daesz atakuje” • Popłoch wśród Kurdów •
Na wygnańczym szlaku • Programowa inwazja •
„Mężczyźni na lewo, kobiety na prawo” • Deportowana*

T ej nocy powrócił do mnie zły sen. Byli w nim mężczyźni bez twarzy, z szabłami u pasa i kałasznikowami przewieszonymi przez ramię. Chodzili po wsi. Były ich tysiące. Hordy wojowników bez twarzy, nosów, ust. Zastępy widm w czarnej jak smoła nocy. Nieśli ze sobą pochodnie. Ulica stała w płomieniach, a nasze domy zamieniły się w stosy. Mężczyźni bez twarzy ryczeli jak niedźwiedzie.

— Wyrznać ich w pień! — wrzeszczeli.

Wtargnęli do naszego domu, by zmieścić mnie serią z karabinu.

Obudziłam się z łomocącym sercem.

Przez ażurowe zasłony do pokoju wpada blada poświata dnia. Przewracam się z boku na bok, z głową ciężką od nocnych mar. Mojego męża Walida nie ma już od dwóch tygodni. Mój ukochany pracuje jako murarz na budowie w As-Sulajmanijja, dużym, otoczonym górami mieście w irackim Kurdystanie.

Z kuchni dolatuje zapach gotującej się zupy z soczewicy. Teściowa przygotowuje śniadanie. Dom rodziców Walida powoli wybudza się ze snu. Ich najstarsza córka, Nesrin, i jej córeczka Rezan śpią jeszcze. Młodsza córka, Amina, zabrała się właśnie do gry w karty w swoim telefonie komórkowym, gdy nagle telefon wibruje. Dzwoni Diana, kuzynka z pobliskiej wsi.

— Daesz wkroczył do wsi! Daesz atakuje!

Wiedziałam, że któregoś dnia trzeba będzie w pośpiechu się pakować. Od dłuższego czasu dręczyło mnie narastające poczucie zagrożenia, a wraz z nim przerażająca myśl, że oto nadchodzi koniec pewnego świata — mojego świata. Nigdy dotąd nie czułam czegoś podobnego. Nieuchronny kataklizm pędził w moją stronę, zmiatając na swojej drodze wszystko.

Trzeba związać manatki. Ojciec Walida, Kero, ponagła swój mały, kobiecy świątek. Jego żona Amsza zalewa się w kuchni łzami; słyszę, jak na ziemię spada z łoskotem sterta garnków. Zrywam z podłogi wełniany kilim przy łóżku i razem z Kero podnosimy cementową płytę. Wyjmuję ze skrytki skórzaną sakiewkę i ręcznie wykonaną pończochę oblepioną grubą warstwą kurzu. Zrobiłam je zaraz po ślubie, by ukryć w nich nasz majątek: około trzech tysięcy dolarów w srebrze i złocie. Nasz skarb.

— No już, szybciej! Wyciągaj to! — poganiam mnie Kero.

Nesrin złości się, bo Rezan marudzi. Zastanawia się, jakie rzeczy córeczki ma ze sobą zabrać. Rezan dopiero uczy się chodzić, właśnie zaczęła mówić *dajeke* [„mama”]. Pomagam Nesrin schować pod ubraniem jej własną fortunę, pięć tysięcy dolarów. Jej męża Baktiara także nie ma

w domu. Pracuje jako robotnik w północno-wschodniej części kraju, przy granicy z Turcją.

Teść ponagła. Bierzemy zapas żywności: chleb, warzywa, wodę. Dużo wody, bo dzień zapowiada się skwarny. On sam chwyta kałasznikowa. Ukrywa go pod siedzeniem w samochodzie, a w schowku dodatkowo rewolwer. Widok Kero z bronią w ręku, z dłonią zaciśniętą na kolbie, dodaje mi odwagi. Zamykam oczy, biorę głęboki oddech i wsiam do starego, brązowego opla vectry. Machinalnie zatraskuję drzwi, kręci mi się w głowie. Na siedzeniu obok Rezan mazgai się na kolanach matki. Mała jest jak gąbka: wyczuwa wiszący w powietrzu strach i go wchłania.

— Jesteś niemożliwa — złości się jej matka. — Uspokój się, to nie pora, by się mazać!

Kero uruchamia silnik, zwalnia ręczny hamulec i nagle sobie coś przypomina:

— Boże drogi! Zapomniałem o ptakach! Siedźcie tu! Zaraz wracam!

Rusza biegiem w stronę woliery i pośród ogólnego świergotu i trzepotania skrzydłami otwiera klatkę. Kolorowo ubarwiony ptak sfruwa z żerdzi i wystawia na zewnątrz dzióbek. Waha się przez sekundę, ale już po chwili wylatuje. W końcu przysiadła na kamieniu. Tylko on jeden zaryzykował wyprawę. Zgraja kanarków ani myśli iść w jego ślady. Przynajmniej na razie. Ale czy to czas, by się tym teraz martwić?

— Musicie sobie radzić sami, przyjaciele — mruczy pod nosem Kero.

Sąsiedzi przytroczyli już bagaże do dachu swojego samochodu, ale wciąż jeszcze nie są gotowi. Ruszamy bez nich. Na głównej ulicy rejwach. Po położonej u podnóża

góry Sindzar wsi wiadomość o ofensywie Daeszu rozniosła się lotem błyskawicy. Mieszkańcy umykają pieszo, samochodami lub stłoczeni na przyczepach furgonetek. Wieś ogarnęła panika. Co bardziej przewidujący są już w drodze. Mniej zaradni uwijają się z ostatnimi przygotowaniami.

Wśród tych, którym najbardziej się spieszy, rozpoznaję Baszira i Rożka. Wczoraj jeszcze gotowi byli „bronić się do ostatniej kropli krwi”. Tak przynajmniej głosili wszem wobec. Należą do brygady strażników. Zaciągnęli się, by brać udział w nocnych wartach. Byle szmer i zaraz było słyhać strzały. Nie przejmowaliśmy się tym zbyt. Nie mieli doświadczenia, toteż strzelali na oślep. Czuli się przez to pewniej. A i my przy okazji też.

Przez ostatnie dni sklepikarze nie podnosili już metalowych rolet, a rolnicy nie wychodzili w pole. Zamarła wszelka działalność. Zamierzaliśmy wymknąć się jak najdyskretniej, zanosilo się jednak na skomplikowaną wyprawę. Ujść przed inwazją Daeszu oznaczało objechać masyw góry Sindzar wraz z pobliskimi szczytami, zahaczyć o Rożawę, syryjską część Kurdystanu, przebyć Tygrys i powrócić do irackiego Kurdystanu bardziej na północy, w pobliżu granicy z Turcją. Naszym celem były okolice miasta Zachu, gdzie mieliśmy krewnych. Dawało to w sumie dwustukilometrową pętlę. Peszmergowie, kurdyjscy bojownicy, odradzali nam tę podróż.

— Po co macie jechać? Obronimy was. Możecie na nas liczyć. Znacie nasze męstwo — chełpił się Kekan, dowódca oddziału peszmergów stacjonującego we wsi i w okolicach.

Tych, którzy mimo wszystko wybierali się w drogę, peszmergowie twardo sprowadzali na ziemię:

— Nie zajedziecie daleko. Nie dostaniecie się z Syrii do Iraku. Granice pozamykane. Nie objedziecie gór.

Mieliśmy dotąd zaufanie do peszmergów — „tych, którzy nie boją się śmierci”. Kekan miał wielki, wystający brzuch. W niczym nie przypominał Saladyna, legendarnego wodza kurdyjskiego pochodzenia, który tak chlubnie zapisał się w dziejach arabsko-muzułmańskich. Ojciec Walida, Kero, twierdził, że Kekan dzielnie bił się przeciwko zięjącemu nienawiścią do Kurdów i jazydów Saddamowi, lecz czyny te były odległą przeszłością. Mit bojownika żył jednak nadal swoim własnym życiem, jako coś całkiem oczywistego. Kekan cieszył się poważaniem. Dwadzieścia pięć lat temu, gdy w swym okrucieństwie dyktator dopuścił się ataku chemicznego na Kurdów z Halabdy, Kekan mężnie stanął do walki. Był najdzielniejszym z dzielnych. Nie przyszło nam nawet na myśl, by ktoś taki mógł nocą 3 sierpnia tak po prostu wziąć nogi za pas.

Kekan wraz ze swym skromnym oddziałem opuścili wieś krótko przed wschodem słońca. Powiadomili przedtem jazydzkich wartowników, że Daesz przypuścił szturm na Sindżar, duży, liczący trzysta tysięcy mieszkańców ośrodek administracyjny regionu. Kekan dostał rozkaz, by się wycofać. Porzucił posterunek. Nie on jeden. Chrześcijańskie wsie na równinie Niniwy i miasto Karakosz spotkał podobny los. Ale o tym miałam dowiedzieć się później.

Już od miesięcy żyliśmy w okowach strachu. Fala grozy napłynęła w maju z Syrii do Iraku, wraz z ogłoszeniem przez sunnickich rebeliantów, że likwidują oficjalne granice,

zastępując je granicami jedyne go uznawanego przez nich państwa — Mezopotamii. My, jazydzi, mówiąc o Islamskim Państwie Iraku i Lewantu, używamy jednak jego islamskiej nazwy — Daesz.

W czerwcu, nie napotkawszy większego oporu, Daesz wkroczył do Mosulu, drugiego co do wielkości miasta Iraku, liczącego dwa miliony mieszkańców. Armia iracka rozpierzchła się w popłochu. Podobny scenariusz rozegrał się w Tal Afar, dwadzieścia kilometrów od nas.

Gdy 9 czerwca padło Tal Afar, szyicy Arabowie schronili się w naszej wsi. Przyjęliśmy ich godnie. Rodziny, które miały wolne pokoje, zaprosiły uchodźców pod swój dach. Ci, dla których nie starczyło miejsca, zostali zakwaterowani w szkole. Opowiadali o okrucieństwie Daeszu, a ich opowieści mroziły mi krew w żyłach. Rozmawiałam na pewnym weselu z dziewczyną, której ojciec muzyk, podówczas już na wygnaniu, przygrywał na flecie w duecie ze swoim synem wtórującym mu na bębnie. Uciekła przed Daeszem, ale była świadkiem, jak bojownicy Daeszu strzelali na oślep do cywili na ulicy, sama zaś musiała pocieszać kuzynkę, która padła ofiarą gwałtu. „Nie tylko Daesz jest przeciw nam. Inni sunnici, ludzie, którym codziennie mówiłam »dzień dobry«, napadli nas i złupili. Wygnali nas z domu, by przejąć nasze mienie” — opowiadała. Rodzina muzyka straciła wszystko poza fletem i bębniem. „Jeśli ci ludzie są zdolni do podobnego barbarzyństwa wobec szyitów — myślałam — możemy spodziewać się najgorszego”. Byłam pewna, że wobec nas będą jeszcze okrutniejsi. Bałam się, że jazydzy mężczyźni polegą w walce o honor swego ludu.

Nie jesteśmy muzułmanami jak szyici, a *Biblia*, święta księga chrześcijan, nie jest naszą księgą. Dla sunnitów z Daeszu jesteśmy szumowiną ludzkości. Grozi nam wielkie niebezpieczeństwo, bo my, jazydzi, jesteśmy inni niż wszyscy. Nasza religia jest jedną z najstarszych na świecie. Nie czekaliśmy na pojawienie się żydów, chrześcijan i muzułmanów, by wierzyć w jedyne Boga. Nasz kalendarz liczy sobie 6765 lat. Zawsze staraliśmy się trzymać z dala od konfliktów wyznaniowych i politycznych, wciąż jednak padaliśmy ofiarą rzezi i prześladowań. Ponieważ jesteśmy inni. Wierzymy w Boga Wszechmogącego i jego siedmiu Aniołów, a jednak od wieków uchodzimy za odszczepieńców i niewiernych. Dlatego żyjemy na uboczu, u stóp masywu Sindżaru, gotowi w każdej chwili wspiąć się na jego zbocza, by uniknąć zsyłek i pożarów wsi. Te góry to nasza twierdza.

Historia się powtarza. Od upadku Mosulu sidła zaciśkają się wokół nas coraz ciaśniej. Państwo Islamskie zastukało do naszych drzwi. Ogłosiło się kalifatem i obrało sobie za przywódcę Abu Bakra al-Bagdadię. Nigdy wcześniej nie słyszałam o tym kalifie, któremu pokłon mają złożyć wszyscy muzułmanie. Niewiernych zaś, czyli *kafir*, jak nas nazywa, obiecał zmieść z powierzchni ziemi.

W pierwszej kolejności zamierzamy przedostać się do odległej o zaledwie dziesięć kilometrów wsi Ardan, z której pochodzi teściowa; tam, w polu u podnóża gór, zostawić samochód, wspiąć się na zbocza masywu, znaleźć tymczasową kryjówkę i przeczekać. Jeśli Daesz się zbliży, podejmiemy wyżej. Jeśli nie, zejdziemy, wsiądziemy do samochodu i ruszymy w dalszą drogę.

Za pierwszymi wzniesieniami ścieżka gubi się pośród skał gładkich jak wnętrze dłoni. Posuwamy się jedno za drugim, gęsiego, ocierając się o skarłałe krzewy, podobne do parasoli morwy o długich, wystających gałęziach i fioletowo-zielone skupiska ostu kásającego nas w nogi. Suche jak wióry kępy traw trzeszczą pod stopami. Ziemia jest rozpalona.

Nagle zza wąskiego zakrętu wyłania się wejście grotty. Z kijem w rękę teść podejrzliwie zagląda do środka, sprawdzając, czy aby nie zakłócamy spokoju jakiemuś dzikiemu zwierzęciu. Naprzeciw wejścia ściana przewężenia tworzy rodzaj wysokiego cypla, strzelającego w górę i oddzielającego nas od wsi. Kryjówka wprost idealna! Rozkładałam na ziemi obrus z myślą o posiłku.

Od świtu bezskutecznie próbuję dodzwonić się do Walida. Połączenie niemożliwe. Przeciążenie sieci. Wszyscy w okolicy powtarzają ten sam gest: w kółko wybierają ten sam numer i w kółko słyszą to samo arabskie lub kurdyjskie zdanie: „Abonent czasowo niedostępny. Prosimy zadzwonić później”. Usiłuję przerzucić się na inną sieć. Bezskutecznie.

W końcu, wczesnym popołudniem, udaje się.

— Walid! Jesteśmy w górach nad wsią! Strasznie za tobą tęsknię! Co z nami będzie?!

— Nie bój się! Trzymaj się moich! Wszystko będzie dobrze!

— Kocham cię, *ruhe men* [„duszo moja”]!

— Ja ciebie też, *dżiana men* [„życie moje”]!

Wybucham szlochem. Walid stara się mnie w prostych słowach uspokoić, ale niewiele może zrobić. Choć As-Sulajmanijja jest tylko o kilka godzin drogi stąd, ofensy-

wa Daeszu odcięła nas od reszty Kurdystanu. Rozłączam się i zastygam w bezruchu.

Leżymy pod osłoną cienia.

Z dołu dobiegają krzyki. Urywki zdań wzlatają z doliny ku górze, odbijając się echem o głązy. Ktoś idzie po skałach w naszą stronę. Coraz wyraźniej słyhać kroki. Podrywam się do ucieczki. Ojciec Walida uspokaja mnie ruchem ręki.

— To inni uciekinierzy.

Kobiety mają na głowach chusty dla osłony przed palącym słońcem, mężczyźni turbany. Pytają, czy wiemy, co się dzieje na dole. Wahają się: którądy iść?

— Witajcie w naszych skromnych progach! Mam nadzieję, że nie boicie się węży — mówi z uśmiechem Kero.

Stara się być dowcipny — udaje gospodarza przyjmującego pod swym dachem znamienitych gości.

— Boimy się tych z Daeszu — rzuca w odpowiedzi młody ojciec. — Z tymi z gór damy sobie radę!

Jego dwaj nastoletni synowie zgrywają twardzieli. W wewnętrznych kieszeniach kurtek noszą rewolwery i korzystają z okazji, by pochwalić się sukcesami w polowaniu na gady. Pierwszy jednym ciosem rozplątał łeb długiej na metr żmii. Drugi widział, jak „miodowy jad spływał z kłów sterczących ze zmiążdżonego łba”.

— Szkoda, żeśmy go nie zebrali i nie posmarowali nim chleba — mądrzą się, zadowoleni z siebie. Coraz to nowi uciekinierzy przechodzą obok nas, ale nie zatrzymują się nawet; spieszo im, by wejść wyżej.

— Idziemy do Mazar Szaraf el-Din — rzuca jeden z nich. — Jazydzczy bojownicy bronią tego świętego miejsca. Setki

rodzin już się tam schroniły. Zastały tam dach nad głową, kapłanów, zapasy wody i jedzenia.

W regularnych odstępach czasu przechodzą kolejne grupy, obwieszone tobołkami i ciągnące za sobą walizki przewiązane sznurkiem. Spieszą się. Przodem idą mężczyźni, przecierając szlak kobietom — starszym i młodszym, w kwiecistych wiejskich sukienkach, otoczonym wianuszkami dzieci. Kobieta w ciąży krzywi się z wysiłku. Jakaś dziewczyna rozpacza — dowiedziała się, że matkę, która została w domu, zabili dżihadyści. Jazydźcy wygnający wytrwale podążają naprzód.

My nie ruszamy się z miejsca. Czekamy pod osłoną cienia, zaszyty wewnątrz kryjówek. Myślami jestem daleko. Z Walidem. Wyobrażam go sobie w As-Sulajmanijja, tym półtoramilionowym mieście, którego nie widziałam na oczy.

Opowiadał mi już o Ankawie, zamieszkałej przez chrześcijan dzielnicy Irbilu, w której budował willę dla bogatego Asyryjczyka. Już wtedy liczyłam dni, a on mówił o ceglanych kościołach i bijących z całej siły dzwonach zwoływających wiernych na modlitwę. Opisywał tarasy kawiarni, gdzie dziewczęta i chłopcy wspólnie palą sziszę, popijając coca-colę i lane piwo — alkohol serwowany im przez jazydzkich kelnerów. Nie wierzyłam własnym uszom. Zastanawiałam się, czy przypadkiem nie ubarwia swej opowieści, by zrobić na mnie wrażenie. Smak wolności, którego zakosztował, budził we mnie zazdrość. Zdarzyło mi się myśleć, że przecież mógł poznać w tej Ankawie, na przedmieściach Irbilu, stolicy Kurdystanu, inną kobietę, przechodzącą właśnie obok jakiegoś marmurowego pałacu czy wysokiego budynku, jakie widywałam w telewizji.

Walidzie, mój ukochany, mój najdroższy, brak mi Ciebie.

U wlotu grotty płonie ognisko z dębowych szczap. Co jakiś czas ogień rzuca poblask na niebo. Zwijam się w kłębek. Drzewa, kamienie, ziemia powoli stapiają się w ciemność. Musiałam zapaść w sen. A jeśli to koniec naszego ludu? Siedemdziesiąte trzecie ludobójstwo, skoro było już ich siedemdziesiąt dwa. Pamięć o nich przechodzi z pokolenia na pokolenie, zawarta w przekazach przodków. Nasze dusze od tak dawna już nasiąknięte są grozą tamtych tragedii. Moi dziadkowie, a przed nimi ich dziadkowie i dziadkowie ich dziadków nosili w sobie ślady tej grozy. I ja także, podobnie jak oni, naznaczona jestem tym pierwotnym strachem przed zagładą. Zdaje mi się, że słyszę, jak szakal krąży wokół naszej kryjówki. Mówią, że noc przynosi radę. Nie mnie, nie tym razem.

Na wschodzie pojawiają się pierwsze oznaki świtu. Rankiem tego dnia, 4 sierpnia, teść odbiera wreszcie mniej alarmujący telefon. Przyjaciół przedostał się przez granicę z Syrią. Przy odrobinie szczęścia może i nam się uda. Może damy radę objechać szosą góry Sindzar? Czy nie lepiej zaryzykować teraz, zamiast czekać i być może zostać zmuszonym do pieszej wspinaczki w promieniach palącego słońca, z malejącym zapasem wody i Daeszem depczącym po piętach?

Kero podejmuje decyzję. Opuszczamy grotę i schodzimy w dół. Połowa towarzyszy niedoli, którzy koczowali u naszego boku, idzie w nasze ślady, reszta decyduje się na wspinaczkę.

Schodzimy i wsiadamy do samochodu. Nasza karawana liczy szesnaście pojazdów, rozklekotanych gratów z rzęzącymi silnikami. Opel ojca Walida jedzie za innymi, powoli,

z włączonymi światłami, wznecając tumany kurzu. Za nami, zderzak w zderzak, sunie radziecki łażik.

— To uaz — komentuje ze znawstwem Kero. — Niezniszczalny poprzednik toyoty land cruisera.

Właściciel kupił go od szyckiego Kurda irańskiego pochodzenia, jak dowiadujemy się od niego podczas postoju spowodowanego przegrzaniem chłodnicy. Kero, pasjonat mechaniki, chwala jakość wykonania i wytrzymałość modelu, ale widać, że w głębi duszy targa nim niepokój. Słuchamy go jednym uchem.

Próbuję połączyć się Walidem. Udaje się za pierwszym razem. Walid jest cały w nerwach. Zamierza wsiąść do taksówki i przyjechać z As-Sulajmanijja do Zachu, dokąd mamy nadzieję dotrzeć, nadrabiając drogi przez Syrię.

— Przyjadę, ale nie mogę zerwać się z budowy bez uprzedzenia — tłumaczy. — Porozmawiam dziś z szefem, poproszę, by mi dał wypłatę, i już jadę! To daleka droga, ale ty, skarbie, masz jeszcze dalej. Nie martw się!

Nagle rozlega się wybuch. Odruchowo chowam głowę w ramionach. Na tyłach naszej kolumny pojawiają się samochody Daeszu. Ojciec Walida mówi, że widzi ich w lusterku. Strzelają ponad naszymi głowami.

— Walid, rozłączam się! Są tu! Daesz tu jest! Walid, ratuj!

Pojazdy z czarną flagą mijają nas kolejno, pędząc w stronę czoła kawalkady. Kilkudziesięciu dżihadystów strzela w naszym kierunku z równoległego pasa. I nam dostaje się gratis ostrzegawcza seria. To strzały w powietrze, ale drętwiejemy z przerażenia. Mija nas czarny humvee z wyrzutnią rakiet na dachu. Przypomina pancerny sejf na kołach.

Jadący w środku wyglądają jak ufoludki, ale ja wiem, że są stąd. Może nawet widziałam już kiedyś tego dżihadystę, który teraz otwiera w trakcie jazdy drzwi samochodu, by lepiej nam się przyjrzeć. Może spotkałam go już kiedyś w Sindżarze, nim rozpętało się powstanie sunnitów. Mógł być wtedy zwyczajnym gapiem, jednym z wielu w anonimowym tłumie. Ze zwierzęcym wyrazem twarzy drapie się po brodzie. Ma na sobie przykrótkie bojówki, a przez ramię przewieszony pas z amunicją. Na głowie czarna bejsbolówka z daszkiem.

Dżihadyści docierają do czoła karawany, gwałtownie hamują i tarasują nam drogę. Na dachu każdego pick-upa DSzK — ciężka broń maszynowa strzelająca z prędkością kilkudziesięciu wielkokalibrowych naboju na sekundę. Samochody jazydów zatrzymują się jeden po drugim. Ojciec Walida hamuje, ale nagle rusza z kopyta. Opel wyrывa się do przodu na oczach zdumionych dżihadystów. Przebijamy się z lewej przez kordon, przelatując po koleinach. Udało się — prawie. Przez tylną szybę widzę jeden z pick-upów, który ruszył za nami w pościg i zbliża się coraz szybciej.

— Tato, stój! — krzyczą Amina i Nesrin.

Jeden z pocisków trafia w karoserię, przeszywając bagażnik. Celują w opony. Teść daje za wygraną. Hamuje i wysiada z rękami w górze. Oczyma wyobraźni już widzę, jak zmiata go seria z karabinu, ale nie — dżihadyści mają wobec nas inne plany. Każą mu z powrotem wsiąść do samochodu, zawrócić i włączyć się do kolumny. Kero posłusznie wykonuje rozkaz.

Dżihadyści wyciągają nas z opla. Są przerażający, dokładnie tacy, jak ich sobie wyobrażałam. Niektórzy mają twarze zasłonięte czarną chustą. Nie po to, by ich nie rozpoznało — tym się akurat nie przejmują. Maskują się, by budzić strach i zabezpieczyć się przed pyłem. Po akcencie poznaję, że to arabscy sunnici stąd lub z okolic Bagdadu. W pierwszej kolejności rzuca mi się w oczy ich broń — nowiuśkie karabiny szturmowe M16, kałasznikowy i przytroczone do pasa granaty. Twarze dostrzegam później.

Komitet powitalny obrzuca nas stekiem wyzwisk.

— Jeszcze jedna taka akcja i już po was — ostrzega wysoki facet w drelichu, przejeżdżając dłonią po szyi w geście podrzynania gardła.

Spluwa.

— Zabieramy was do Rakki, w Syrii, odszczepieńcy jedni, psy niewierne! *Kalba*, kurwy, gównozjady!

Na przodzie pick-upa powiewa sztandar z pieczęcią Proroka i wykaligrafowanym po arabsku islamskim wyznaniem wiary: *la ilaha illa'llah* — „Nie ma boga prócz Allaha”. Czy rzeczywiście zawiozą nas do Syrii?

Stoimy samotni i bezradni, twarzą w twarz z ich zajądłością. Pozostali czekają w samochodach za zasuniętymi szybami. Zastygliśmy w bezruchu. Nasza wyprawa dobiegła końca tu, pośrodku stepu, tego więzienia pod gołym niebem. Setka pojazdów stoi unieruchomiona. Dżihadyści wezwali posiłki. Pilnuje nas tuzin mężczyzn w spodniach do pół łydki i wojskowych bluzach. Powiedzieć, że nas nienawidzą, to mało. Staram się nie patrzeć im w oczy.

Pod czujnym okiem dżihadystów ruszamy w dalszą drogę. Gdy któryś z samochodów się psuje, pasażerowie porzucają go na trasie i tłoczą się w innym pojeździe.

Teś siedzi jak na szpilkach, teściowa rozpacza. Córeczce Nesrin jest za gorąco, chce jej się pić. Przejedźdźmy przez jakąś wieś.

W pewnej chwili zauważam na drodze u stóp znaku drogowego opuchnięte zwłoki. To moje pierwsze martwe ciało. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałam. A jeśli i ja skończę jak ten ktoś, gdzieś na poboczu drogi?

Dojeżdżamy do punktu kontrolnego, w którym panuje zamęt. Dżihadysty każą nam wyłączyć silnik i dołączyć do pozostałych jazydzkich rodzin zgrupowanych pośrodku pustego placu, obok dużego sklepu ze sprzętem AGD. Jest nas co najmniej tysiąc cywili, otoczonych przez uzbrojonych mężczyzn. Pod groźbą kałasznikowów wymierzonych w naszą stronę przesuujemy się w kierunku czegoś w rodzaju checkpointu.

Bojownicy Daeszu trzymają w rękach duże rolnicze worki. Są młodzi. Byle słowo i wałą w łeb.

Mamy im oddać całą gotówkę i wszystko, co wieziemy ze sobą! Złoto, biżuterię, telefony i komputery! Szybciej! I niech tylko ktoś spróbuje kantować!

Bez słowa wrzucamy do worków nasze dobra i dokumenty: dowody osobiste, telefony komórkowe, pieniądze, złoto, srebro, biżuterię. Zrywają nam naszyjniki, zszarpują bransoletki.

— Wszystko? — upewnia się jeden z rabusiów o cuchnącym oddechu hieny.

Potakuję.

— Lepiej, żebyś mówiła prawdę!

Nim przyszła moja kolej, przezornie zdążyłam zdjąć z szyi łańcuszek, wyjąć z medalika ślubne zdjęcie i schować je blisko serca. Wrzuciłam do worka łańcuszek z medalikiem, bransoletkę, pierścionki, złoto i srebro. Każdy kruszec osobno, do oddzielnej torby. Przepadł cały skarb. Złupili nas jak bandyci. Nikt z nas się nie postawił. Wrzucają torby ze zdobyczą na tyły pick-upów. Wszystko ściśle obmyślane. Przeczesują jeden po drugim samochody, konfiskują broń.

Spędzili nas w hali supermarketu, pełnej kuchenek, lodówek, zamrażarek i suszarek do bielizny. Są nas setki stłoczonych w salonie wystawowym sklepu z niezrozumiałych dla nas przyczyn. O co im chodzi? Stoję wciśnięta między dwie zmywarki. Celowo nie stanęłam w przejściu, bo ścisk tam taki, że szpilki nie da się wetknąć. Z irackiej gospodyni domowej marzącej o zmywarce do naczyń zamieniłam się w towar, który sam wkrótce stanie się przedmiotem targu. Stoję, jakbym połknęła kij. Jestem warta mniej od najtańszej mikrofalówki.

Pilnujący obrzucają nas wyzwiskami.

— Polujemy na was od setek lat, no i wreszcie was mamy! *Kafir*, odszczepieńcy jedni, niewierni! Już się nam nie wymkniecie!

Po bardzo długim czasie bez słowa wyjaśnienia każą nam wrócić do samochodów.

Konwój znów rusza.

— Wygląda na to, że wiozą nas do Syrii — mówi Kero.

Szlocham. Jestem pewna, że to podróż w jedną stronę. Zamieniam się w fontannę łez. Teściowa pojękuje. Tylko Rezan się nie odzywa. Z wycieńczenia zasnęła w ramio-

nach matki. We wszystkich pojazdach kolumny ludzie zalewają się łzami gorętszymi od upalnego powietrza. To karawana płaczu w piekle irackiego lata. Jej droga kończy się na jednym ze skrzyżowań, gdzie droga rozchodzi się w trzy strony: w kierunku zapory wodnej w Mosulu, granicy z Syrią i miasta Sindżar. Nad tablicą oznajmiającą zaporę powiewa ciąg czarnych flag. To pewnie ich strategiczny punkt.

— Koniec podróży! Wsiadka! — wrzeszczą džihadyści.

Jechaliśmy zderzak w zderzak, parkujemy teraz na poboczu jak popadnie. Żołnierze Daeszu spędzają nas do kupy u stóp wzgórza, jak stado bydła.

— Mężczyźni z powrotem na drogę, kobiety i dzieci ani kroku dalej — rozkazują. — Szybciej!

Kero nie ma wyjścia, maszeruje w kierunku szosy. Nieposłusznym dla przykładu spuszcza ją lanie. Z dachu pick-upa z napędem na cztery koła celuje do nas stary radziecki bkc.

— Zostawcie mi męża! — błaga moja teściowa Amsza. — Jestem chora, potrzebuję go!

Dostaje kolbą karabinu w biodro. Kero ledwie zdołał ucałować na pożegnanie córki. Nie zdążył już pocieszyć żony — został wepchnięty do szeregu mężczyzn. Rozłożył ramiona w geście oburzenia i rozpacz. Jeden z džihadystów mierzy do niego z broni, gotów dla przykładu zmieść go serią z karabinu.

— Ruszaj się! I *sed halgak* [„morda w kubel”]!

Setki mężczyzn — młodych, w sile wieku, starców — maszeruje po rozpalonym do białości asfalcie. Jest ich może ze trzystu. Kobiety i dzieci spoglądają na ten widok ze złamanymi sercami. Nas jest co najmniej pięćset.

— Rozstrzelają ich! Rozstrzelają i zasypią w rowie!

Wszystkie obawiamy się tego samego, przez tłum przebiega szmer. Kilka kobiet, bardziej śmiałych, decyduje się wspiąć na wierzchołek wzgórza, by zobaczyć, dokąd zabierają mężczyźni. Część z nich zostaje złapana, inne docierają do szczytu.

— Niektórzy wsiadają do autobusu, pozostali idą pieszo — donoszą nam po zejściu.

Same nie wiemy, co czuć — ulgę czy przerażenie?

Dokąd ich zabierają? Nie mamy pojęcia.

Dżihadyści nie oszczędzają na nabojach. Każdy rozkaz poparty jest ostrzegawczą serią z karabinu.

Zaczyna się kolejny przesiew. Sortują nas jak zboże, według kryteriów, które szybko stają się dla nas jasne. Młode i dojrzałe kobiety po jednej stronie. Starsze kobiety, matki i dzieci po drugiej. Mnie i Aminę, moją dwunastoletnią szwagierkę, wcielają do pierwszej grupy. Teściową, Nesrin i Rezan do drugiej. Korzystając z zamieszania, próbujemy z Aminą podkraść się do pick-upa, do którego wepchnięto je razem z matkami z dziećmi. Jakiś dżihadysta w wojskowym stroju drze się na całe gardło. Podchodzę jeszcze bliżej pick-upa. Dżihadysta puszcza serię wprost pod moje nogi. Kule odbijają się ze świstem. Bojownik ma długie włosy, gęstą brodę i ciemne oczy. Cofam się. Gdy tylko się odwraca, ponawiam manewr. Pędzę sprintem w stronę samochodu. Za nic nie chcę trafić do grupy niezamężnych i bezdzietnych kobiet. Dżihadysta dopada mnie po krótkim pościgu i ciągnie za ramię w kierunku Aminy.

— Chcę zostać z rodziną! Zostaw mnie z siostrami albo zabij!

Zwracam się do niego po arabsku. Przygląda mi się przez dłuższą chwilę w milczeniu.

— Emirze Abu Mussa, transport kobiet gotowy do drogi — zwraca się do niego jeden z jego zbirów. — Możemy ruszać w każdej chwili.

Abu Mussa podnosi do góry szablę.

— Ty i ty, wsiadacie albo was skrócę o głowę! Wasza rodzina mnie nie interesuje. Wypuścimy ich. Ale was zatrzymamy.

Idziemy za nim w stronę autobusu z „ładnymi” kobietami. Już czeka z uruchomionym silnikiem. Po chwili rusza i z zasłoniętymi szybami obiera kurs na Syrię. Wpychają nas do pick-upa. Wsiadam i pomagam wsiąść Aminie.

— Jedziemy! — rzuca Abu Mussa, kierując się w stronę swojego hummera.

W samochodzie jest tak ciasno, że nawet nie można kucnąć, nie mówiąc już o siedzeniu. Nie mogę się ruszyć. Łapią mnie potworne skurcze. Jest nas czterdzieści kobiet i dzieci stłoczonych w jednym pojeździe. Matki wzięły dzieci między nogi. Karawana pick-upów i furgonetek wzbija tumany kurzu. Dzieci nie mają czym oddychać. Matki podnoszą je co jakiś czas do góry. Droga usłana jest trupami. Wszystko to cywile — jazydzi schwytani wczoraj lub dzisiaj na próbie ucieczki.

— Widziałyście? Kierowca to jazyd — rzuca jedna z pasażerek.

— Nie łudź się, to niczego nie zmienia. To jeńcy brani na posługaczy. Pewnie brakuje im kierowców — wzdycha jakaś starsza kobieta.

Podróż jest koszmarem. W samochodzie panuje potworny ścisk. Upał, wertepy, pot i strach wykańczają nas.

Docieramy, zdaje się, do celu.

Wjeżdżamy do Sindżaru. Tu także na każdym kroku trupy w kałużach zaschniętej krwi. Ze stosów gruzu i piętrzących się wraków samochodów dolatuje odór rozkładających się ciał.

Miasto jest w rękach Państwa Islamskiego. Daesz sprawuje tu swoje rządy.

— Staniecie przed trybunałem. To on zdecyduje, co z wami zrobić!

Wchodzimy do splądrowanego dwupiętrowego budynku, dawnej siedziby PDK — Demokratycznej Partii Kurdystanu. Każą nam czekać na podwórzu, gdzie dopalają się resztki wyrzuconych przez okno drewnianych stołów. To pewnie tutaj przywożą transporty jazydzkich kobiet. Stoi tu już z setka więźniarek. I wciąż przybywa nowych, w każdym wieku, z dziećmi albo bez.

Strażnik przydziela mnie do grupy porządkowej. Naszym zadaniem jest uprzątnąć pomieszczenie archiwum. Na podłodze walają się luzem akta i odłamki szkła. Zabieram się do roboty.

Każą mi wrócić na podwórko.

Okolo dziesiątej wieczorem żołnierze, na których wcześniej nie zwróciłam uwagi, robią przegląd w szeregach kobiet. Oglądają swoją zdobycz z bliska, jak złodzieje delekujący się łupem. Przyglądają się naszym oczom. Szukają

kobiet o jasnych źrenicach. Chwyają nas za podbródki i brutalnie otwierają nam usta, żeby obejrzeć zęby. Obmacują. Kobiety o zielonych i niebieskich oczach cieszą się największym wzięciem.

Udaję niedorozwiniętą. Kurczowo napinam mięśnie szczęki, rozdziawiam usta i wywracam gałkami oczu. Dziecięcy trik, którym z moją przyjaciółką Dagan straszłyśmy dzieciarnię. Dżihadyści odpychają mnie ze wstrętem. Zatrzymują pół tuzina kobiet.

Gruby brodacz w czerwonym kamizie i spodniach do pół łydki folguje sobie, obrzucając nas wyzwiskami. Nie zamykają mu się usta.

Żołnierze powracają późnym wieczorem, by zabrać sześciu mężczyzn zamkniętych w komórce. Więźniowie wychodzą ze spuszczonej głowami, zawiązanymi oczami i skutymi na plecach rękoma.

Około dwudziestej trzeciej podają nam w miskach nie-dogotowany ryż. Do tego placki chleba twarde jak kamień. Od świtu nie miałam niczego w ustach, ale ryż nie przechodzi mi przez gardło. Robi się chłodniej. Piętnastoletni wyrostek bez śladu zarostu polewa grunt ogrodowym szlauchem. Gdy któraś z nas mu zawadza, odpycha ją. Woda nie wsiąka w twardo ubitą ziemię.

— Możecie się kłaść! — dowcipkuje wyrostek.

Siadam w kałuży wody. W końcu i tak wyschnie. Trzęsę się ze strachu.

PROGRAM PARTNERSKI

GRUPY WYDAWNICZEJ HELION



- 1. ZAREJESTRUJ SIĘ**
- 2. PREZENTUJ KSIĄŻKI**
- 3. ZBIERAJ PROWIZJĘ**

Zmień swoją stronę WWW
w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>


P I E K Ł O T O Z A M A Ł O

Wojna musiała prędzej czy później dotrzeć do niewielkiej jazydzkiej wioski u podnóża góry Sindżar w północnym Iraku. Osiemnastoletnia Dżinan i członkowie jej rodziny od dawna zdawali sobie sprawę z zagrożenia, jakie niosła ze sobą ekspansja Państwa Islamskiego na pobliskich terenach. Gotowi do drogi, wciąż jednak opóźniali wyjazd w bezpieczniejsze miejsce. Nie mogli uwierzyć w to, że ich spokojny, położony na uboczu kawałek świata może zniknąć z powierzchni ziemi. Łudzili się, że obronią ich stacjonujący nieopodal kurdyjscy peshmergowie. Niestety, w kluczowym momencie Kurdowie zostawili jazydów własnemu losowi, a kawalkada uciekających cywilów była łatwym łupem dla zwyrodnialców w mundurach ISIS.


To właśnie wtedy zaczął się dramat Dżinan i innych jazydzkich kobiet. Rozdzielenie z rodziną, bicie, poniżanie, tortury i seksualne niewolnictwo — tylko tego mogły się spodziewać od swoich oprawców. Osiemnastoletnia bohaterka tej książki przetrwała i uciekła z tego piekła dzięki swojej odwadze i determinacji, w imię miłości do męża. Nie wszystkie jazydki miały tyle szczęścia.

Dżinan i Thierry Oberlé, reporter francuskiego dziennika „Le Figaro”, poznali się przypadkiem na początku zimy 2014 roku. Dżinan opowiedziała wówczas Thierry’emu swoją historię. Za prostotą i precyzją jej słów krył się wewnętrzny dramat. Była ocalałą z piekła. Miała osiemnaście lat, ale wyglądała na więcej. Była mężatką. Sprzedano ją dwóm bojownikom — policjantowi i imamowi, była więziona i torturowana. Zmuszono ją do przejścia na islam, podobnie jak pozostałe niewolnice. Dżinan miała szczęście. Udało jej się uciec. Jej odrodzenie stało się możliwe między innymi dzięki tej książce, powstałej z myślą o niej samej i o wszystkich kobietach, które spotkał podobny los, także tych, które przyplaciły swoje przejścia życiem.

 **editiowhite**

 **Księgarnia internetowa:**
<http://editio.pl>

 **Zamówienia telefoniczne:**
0 801 339900

 **0 601 339900**

Sprawdź najnowsze promocje:
● <http://editio.pl/promocje>
Książki najchętniej czytane:
● <http://editio.pl/bestsellery>
Zamów informacje o nowościach:
● <http://editio.pl/nowosci>

Hellon SA
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice
tel.: 32 230 98 63
e-mail: editio@editio.pl
<http://editio.pl>

ebook dostępny wyłącznie na:

ebookpoint.PL



ISBN 978-83-283-2416-9



9 788328 324169

cena 29,90 zł